

Krzysztof Kotowski

Japońskie cięcie

Rozdział 1

Pan Czesio z pewnością nie miał zbyt inteligentnej miny. Jego wylupiające oczy spoglądały ze strachem w kierunku butelek z wódką, a zęby szczękały za zaciśniętymi ustami, jakby od kilku godzin stał na mrozie. Ręce, które trzymał na blacie, pociły się niemiłosiernie, ale bał się sięgnąć po chusteczkę. Pan Czesio był człowiekiem dość otyłym i nie lubił zbyt ciasno zapinać paska. Teraz jednak, w tej dość stresującej chwili, poczuł, że spodnie zsuwają mu się coraz bardziej, co zwiększyło jeszcze jego przerażenie, bo odwrócony był, nie da się ukryć, tyłem do sali. Lokal zwany przez okolicznych pijaczków pieszczotliwie U Kotka – którego zresztą był właścicielem – o tej porze zwykle świecił pustkami. Obecnie nie było tu nikogo prócz niego i faceta o twarzy wymuskanego gogusia, w okrutnie niemodnym już garniturze. Goguś stał spokojnie tuż obok, trzymając pistolet wycelowany niestety w jego głowę.

- Zrozumiałeś pytanie? – spytał beznamyślnie.

- Tak, tak, jasne oczywiście, bez wątplenia – dukał pan Czesio najszybciej jak potrafił, z lękiem oczekując na rozwój wypadków.

No więc?

- Ja jej nie widziałem... może kto inny. Zwykle jestem na zapleczu i ...

- Spodnie opadły ci już do pół dupy, a wciąż kręcisz – Mina Gogusia nie wróżyła nic dobrego.

- Nie kłamie... aaaa, właśnie coś sobie przypomniałem!

- Zamieniam się w słuch. – Goguś zajął panu Czesio głęboko w oczy.

- Mógł pan jeszcze ... tak trochę dokładniej ją opisać? – wyjął barman, czyniąc pewne starania, aby na jego twarzy pojawił się nieśmiały uśmiech.

- Wysoka blondynka, szafirowy pierścionek, niebieska sukienka, długie włosy...

- Aaaaa, ta pani. Noooo... była tu, ale chyba nie sama... – Pot z jego twarzy ściekał już strumyczkami. Goguś zacisnął zęby i pewniej chwycił pistolet.

- Długo tu byli?

- Godzinę, może trochę dłużej.

- Znasz tego faceta?

- To taki lekarz. Wpada tu czasem i podrywa laski...to znaczy, towarzyszy różnym paniom.

- Czy oni...?

- Bardzo kulturalnie się zachowywali – odparł szybko Czesio, zażegnując w zarodku niebezpieczeństwo. – Szczególnie ta pani. On wpada tu częściej.

- Wiem, łajzo, że wpada. Dlatego tu jestem!

- Może piwko? – Panu Czesiowi udało się wreszcie uśmiechnąć.

- Whiski z colą. - Goguś opuścił pistolet. Barman podciągnął spodnie i podreptał do półki, aby zdjąć z niej butelki. Nalał szybko do szklanki trochę szkockiej, po czym profesjonalnie odmierzył tyle coli, ile trzeba. Kłopotliwy gość stał chwilę bezradnie przy barze, a następnie schował broń, wziął szklankę i wypił jednym haustem jej zawartość.

- Popraweczka? – jęknął nieśmiało pan Czesio.

– Nie wiem. – Goguś wyraźnie robił się coraz smutniejszy.

– No to popraweczka. Nie żałował whisky, mając nadzieję, że uspokoi faceta przynajmniej na pewien czas. Obserwował teraz uważnie, jak tamten ponownie wychyla drinka, stawia cicho szklankę na blacie i niczym zahipnotyzowany odwraca się, by ruszyć do wyjścia. Przez chwilę krokom Gogusia towarzyszyła niemal absolutna cisza. Pan Czesio pełnym przerażenia wzrokiem pożegnał go, a następnie opadł ciężko na najbliższe krzesło. Siedział tak jakiś czas, patrząc zamyślony w dal jak żołnierz w radzieckim filmie wojennym, aż wreszcie wolno i dostojnie wycedził:

- Kurrrrwa!

Doktor Robert Czechowicz nie bez zdziwienia stwierdził, że zginęły mu majtki. Jeszcze raz uważnie przyjrzał się Jolce leżącej wciąż w łóżku i z jej zalotnego uśmiechu słusznie odczytał, kto za tym stoi.

– Nie wygłupiaj się, spóźnię się do roboty. Oddawaj gacie! – zarządził nie znoszącym sprzeciwu tonem. Dziewczyna podniosła się wolno, nie spuszczać z niego wzroku. Jej nagość miło kontrastowała ze skromnym wyposażeniem kawalerki Czechowicza.

Bałaganiarstwo Roberta nie przeszkadzało jego przyjaciółce, dawało za to doskonałą pożywkę dla kpin i żartów. Najwyżej trzydziestometrowe mieszkanko pełne było ciśniętych pod ściany książek, papierów niewiadomego pochodzenia, nierzadko ubrań wyrzuconych z szafy przy okazji szukania czegoś potrzebnego, a nawet butelek po coli, sokach owocowych i... wódeczce. Dość dużo miejsca zajmowały co prawda półki na książki niemal całkowicie wypełniające dłuższą ścianę naprzeciwko okien, ale nawet tam trudno było o porządek, szczególnie że nie były pełne. Szafa tuż przy wejściu do przedpokoju była oczywiście otwarta, dzięki czemu Jola mogła bez problemu skontrolować jej zawartość. Podeszła teraz do niego wolno, jakby każdy krok wymagał przemyślenia, i delikatnie zakryła mu oczy dłonią, uśmiechając się zalotnie.

– A ty jesteś chirurg miękki – błyskawicznie zjechała palcami w dół ciała Roberta – czy twardy? Czechowicz drgnął.

– Sytuacja staje się coraz bardziej niebezpieczna – mruknął, czując z niepokojem, co Jolka wyprawia palcami. – Niebezpieczeństwo to twój żywioł – powiedziała z ironią.

– Nie żartuj. – Robertowi nadludzkim wysiłkiem udało się wyrwać z jej ucisku, co było niestety trochę bolesne. – Ten twój mafioso biega za mną po całym mieście.

– Spokojnie jest niegroźny. Ma tylko romantyczne usposobienie. Dam sobie z nim radę.

– Dziś rano wystraszył podobno pana Czesia z Kotka. Witek mi mówił przez telefon. Machał skurwiel spluwą, tak, że biedak mało nie padł trupem na sam jego widok.

– Mówiłam ci, że ma romantyczne usposobienie. W końcu ma zostać moim mężem.

– Po co to robisz? Przecież i tak nigdy za niego nie wyjdiesz.

– Nigdy nie mów „nigdy”. Świat pełen jest niespodzianek.

– Jolka, to jest bandyta. Powinien siedzieć w pudle. – Czechowicz zanurkował pod łóżko w poszukiwaniu majtek.

– Przesadzasz. To ty powinieneś siedzieć za te setki złamanych serc niewieścich...

– Setki. – Robert popukał się w czoło rozdrażniony przedłużającymi się poszukiwaniami. – Mogłabyś mi pomóc?!

– Są w przedpokoju. – Parsknęła śmiechem, opadając na łóżko. Czechowicz pobiegł w kierunku drzwi wejściowych. Slipki w raz z koszulką i spodniami leżały na podłodze.

– Jasna cholera, spóźnię się! Która godzina?!- krzyknął do dziewczyny.

– Trochę po siódmej. O której masz być w szpitalu?

– O w pół do ósmej. Mam dziś noc, a nie spałem ani chwili.

– Prześpisz się na dyżurze.

– Zwariowałaś?! Przecież dzisiaj sobota. Wypadków wystarczy do rana. Widząc, że Robert

jest naprawdę zaniepokojony, Jolka szybko sięgnęła po sukienkę i buty.

– Podrzucić cię?

– Nie pojedę swoim. Jesteś gotowa?

– Sekunda, pójdę tylko po torebkę do łazienki. Przerazenie w oczach pacjenta nie gasło. Młoda pielęgniarka starała się go uspokoić na wszelkie możliwe sposoby, ale kiedy sama poczuła, że wpada w panikę, zawołała pospiesznie Czechowicza.

– Panie doktorze, mam tu pogarszający się stan!

– Co masz? – skrzywił się Robert, ale na szczęście nikt nie usłyszał jego uwagi. – Jeszcze chwilę! – krzyknął w kierunku pielęgniarki, ale tak, by nie przestraszyć starszej kobiety, nad którą się właśnie pochylał. – Proszę się nie martwić – zwrócił się teraz do niej. – Niczego groźnego u pani nie widzę i myślę, że to dzisiejszy upał spowodował chwilowe omdlenie. Na wszelki wypadek chciałbym jednak zatrzymać panią na obserwacji, zgoda?

– Ale ja się dobrze czuję, panie doktorze...

– Wierzę, ale jest już noc. Ochłodziło się i stąd lepsze samopoczucie. EKG jest w porządku, ja na razie, jak mówiłem, też niczego złego nie widzę, ale chciałbym panią poobserwować dwa, trzy dni. Boli panią czasem głowa? – Raz jeszcze zajął pacjentkę w oczy, zwracając szczególną uwagę na reakcje źrenic.

- Oj, panie, ciągle!

– Bierze pani jakieś proszki?

– Aten łapap, czy jak on tam... córka mi daje.

– Przechodzi, przechodzi, panie doktorze.

– No to dobrze. Proszę tu chwilę poczekać, zaraz doktor Sawicki się panią zajmie. Spotkamy się później, dobrze?

– Dobrze, dobrze, panie doktorze, ale ja się dobrze czuję... Robert przebiegł wzrokiem po sali przyjęć. Zaczynał się robić coraz większy ruch. Drzwi na korytarz już się właściwie nie zamykały, a lekarze i pielęgniarki nie mieli nawet chwili, by usiąść. Nie spodziewał się, że ta noc będzie aż tak ciężka. Teraz stało się jasne, że do drugiej, trzeciej może zapomnieć o odpoczynku. Zwykle właśnie dopiero o tej porze, po pierwszej „fali”, na pewien czas wszystko się uspokajało, by nad ranem znowu wrócić do stanu z późnego wieczoru. Czechowicz nabrał głęboko powietrza i zmrużył lekko oczy, jakby to miało pomóc mu sprawniej podsumować sytuację. Na pierwszym stole przytomny pacjent, 45 lat. Silne, piekące bóle zamostkowe, niepokój. Na drugim postrzelony chłopak, przed chwilą przywieziony, obok przerażona młodzieńka pielęgniarka. Na trzecim facet po wypadku motocyklowym, chyba złamana noga, ale ogólny stan dobry. Do sali pospieszonym krokiem wszedł młody, zdolny i, jak twierdziła większość pielęgniarek, diabelnie przystojny neurolog Marek Sawicki w towarzystwie doświadczonego kardiologa Stefana Koucha, faceta „przy kości”, ale jak na swój wiek i wagę wyjątkowo energicznego ruchliwego. Podeszli do Roberta, uważnie obserwując salę.

– Kobieta po omdleniu, sześćdziesiąt siedem lat – zaczął Czechowicz, nie czekając na pytania. – Chyba w porządku, ale myślę, że trzeba ją jeszcze trochę poobserwować. Obiecałem, że zajmiesz się nią, Marek.

– Jasne. A ten, przy którym stoi Zozuń? – Sawicki przełknął resztki kanapki.

– Serducho to dla Stefana. Niech Zozuń wraca na górę. Kouch bez słowa ruszył w kierunku łóżka, na którym leżał pacjent z bólami zamostkowymi.

– Pani Aniu! – rzucił szybko Robert do przechodzącej pielęgniarki.

– Tak, panie doktorze?

– Proszę wziąć pacjenta z „trójki” na pierwsze piętro i zawołać doktora Bażyńskiego.

– Przepraszam, panie doktorze – pielęgniarka nieśmiało rozejrzała się po sali – ale doktor Bażyński jest u nas na stażu...

– Pani Aniu Czechowicz zatrzymał na niej wzrok lekko zniecierpliwiony jej wątpliwościami –

skończył studia, więc chyba da sobie radę ze złamaniem kości strzałkowej, prawda?

– Tak oczywiście. Kobieta spuściła wzrok i potulnie podreptała do motocyklisty. Robert wyjrzał jeszcze na korytarz, upewniając się, czy nie ma nikogo nowego, poczym szybko podszedł do „dwójki”. Pacjent miał najwyżej 20 lat. Wyglądał na stałego bywalca siłowni, nosił krótko ostrzyżone włosy i tatuaż na przedramieniu, przedstawiający dziwaczny miecz rodem z powieści Sapkowskiego. Krew na jego koszuli zaczynała zasychać, co dawało pewną nadzieję, że pielęgniarka zdołała przynajmniej częściowo zatamować krwotok. Przerażony chłopak patrzył błagalnie na Roberta szeroko otwartymi oczami, nie zwracając uwagi na wysiłki młodej kobiety w białym fartuchu, która opatrywała jego ranę. Czechowicz sięgnął po słuchawki i wytarł końcówkę o fartuch.

– Proszę mu to założyć. – Wskazał maskę tlenową. Chłopak jednak wyrwał się pielęgniarce.

– Ja nie wiem, skąd on się wziął i dlaczego strzelał! – wybełkotał do Czechowicza.

– Ty też miałeś broń – odpowiedział spokojnie lekarz, nie przestając go osłuchiwać.

– Wrobili mnie, to nie ja! – zacharczał chłopak.

– To nie moja sprawa, opowiedz to gliniarzom.

– Ale niech mi pan uwierzy!

– Posłuchaj! – uciął zdecydowanie Robert. – Staram się ci pomóc. Nie jestem policjantem ani prokuratorem, tylko lekarzem. Jeśli nie przestaniesz się wiercić, będę cię musiał przywiązać. Brałeś coś ostatnio?

– Czy ja umieram?!

– Nie umierasz, ale bardzo utrudniasz mi pracę. Paliłeś coś? Brałeś amfę, jakieś spidy?

– Nie dzisiaj.

– Na pewno?

– Jak mamę kocham!

– Biedna ta twoja matka – mruknął Czechowicz do siebie. – Kaśka, jesteś gdzieś?! – krzyknął w głąb sali.

– Tu.

Wyłoniła się doświadczona pielęgniarka.

– Chodź do mnie!

– Lecę!

– Masz cukrzycę, epilepsję... to znaczy, padaczkę? – spytał znowu chłopaka.

– Nie!

– Ty! – rzucił do przerażonej dziewczyny usiłującej założyć rannemu maskę. – Zadzwoń na blok i powiedz, żeby przygotowali zestaw podstawowy.

– Co jest? – spytała Kaśka, która dopiero co do nich podbiegła.

– Nie słyszę oddechu po prawej – rzekł cicho do niej. – Rura do klatki, zdjęcie i na blok.

– Dobra.

– I podaj mu dychę valium. Młoda dziewczyna wciąż szarpała się z maską.

– Jeszcze tu jesteś? – spytał spokojnie Robert.

– Próbuję...

– Miałaś spróbować zadzwonić.

– Przepraszam... – Pielęgniarka wybuchnęła płaczem i pobiegła do telefonu.

– Miej trochę serca – mruknęła Kaśka, sięgając po ampułkę. – Ona jest tu dopiero trzy dni.

– Nic jej nie będzie, szybciej okrzepnie – odparł, zręcznie nakładając pacjentowi maskę tlenową.

– Zabieram go – oznajmiła pielęgniarka, łapiąc uchwyt łóżka. Robert ponownie rozejrzał się po sali. Sytuacja wyglądała na opanowaną. „Jedynka” pojechała na trzecie piętro, „trójka” na chirurgię. Kaśka wyprowadzała właśnie „dwójkę”, aby zawieść ją na blok operacyjny.

Sawicki zabrał na oddział kobietę po omdleniu. Sala z wolna pustoszała. Zapowiadała się chwila przerwy. Przy telefonie stała wciąż zapłakana pielęgniarka, patrząc ze strachem na

- Czechowicza. Robert odetchnął głęboko i podszedł do niej.
- Jak masz na imię? – spytał z uśmiechem.
 - Magda odparła hardo.
 - Posłuchaj, Magdo. Właśnie się dowiedziałem, że jesteś u nas od niedawna.
 - Trzy dni. – Dziewczyna otarła oczy chusteczką. – To, że masz jeszcze małe kłopoty z opanowaniem się, nie stanowi problemu. To normalne. Każdy z nas to przeszedł. Gorzej, że nie potrafisz tego ukryć przed pacjentami.
 - Nie musiał pan tak się do mnie odzywać. – Zacisnęła mocno usta. Robert milczał przez chwilę, przyglądając się jej uważnie. Była szczupła, niska, nie miała więcej niż 20 lat. Niemodna blond grzywka co chwile opadała jej na oczy, więc niemal bez przerwy ją odgarniała. Z pewnością jej uroda nie zwałała z nóg, ale miała sympatyczną, miłą twarz.
 - Wyobraź sobie taką sytuację. – Czechowicz zdecydował się na krótki wykład. – Jesteś w szpitalu, leżysz na łóżku. Dwadzieścia minut wcześniej ktoś wpakował w ciebie dwie kule. Nad tobą stoi osoba, która teoretycznie ma ratować ci życie. A ona jest przerażona i wrzeszczy na całe gardło, że twój stan się pogarsza. Co czujesz? Dziewczyna spuściła wzrok.
 - Każdy się boi – kontynuował Robert – ale mówiąc z lekka pretensjonalnie, my tu ratujemy ludziom życie i nie możemy – ujął pielęgniarkę za podbródek, aby spojrzeć jej głęboko w oczy – okazywać lęku, który mógłby zaszkodzić pacjentom.
 - Ja nie wiem, czy potrafię...
 - Ja też nie wiem, ale jednego jestem pewien: opanowanie to tylko kwestia dyscypliny i treningu. Nieśmiały uśmiech dziewczyny zachęcił Roberta do snucia kombatanczkich wspomnień.
 - Kiedy piętnaście lat temu przyszedłem do tego szpitala byłem chyba bardziej przerażony niż ty. Aż któregoś dnia opieprzył mnie jeden doświadczony lekarz, tak że o mało nie poderżnąłem sobie żył skalpelem. Dziewczyna podniosła zdecydowanie wzrok. Przyglądała się Czechowiczowi uważnie, ale z lekkim niedowierzaniem.
 - Wkurzyłem się, i o to chodziło – ciągnął Robert jak gdyby nigdy nic. – Od tamtej pory to była kwestia nie tylko bezpieczeństwa pacjentów czy profesjonalizmu, ale także ambicji. Teraz dobiegam czterdziestki i wiem, że było to mi potrzebne. Magda poważnie pokiwała głową.
 - Masz ochotę na kawę?
 - Mhmm.
 - To idź do mojego gabinetu, zaraz tam przyjdę. Pielęgniarka raz jeszcze otarła oczy chusteczką i wyszła z sali. Kiedy Robert odwrócił się, zobaczył przed sobą skrzywionego Koucha.
 - Dlaczego zawsze opowiadasz świeżakom tę głupią historyjkę?
 - Nastrajam ich - oznajmił Czechowicz.
 - Tymi wymysłami?
 - Nie ważne, czy to prawda. Ważne, rozumiesz, że w pewnym momencie taki świeżak zaczyna czuć...
 - Mógłbyś przestać? – zachnął się kardiolog. – Weź jakiegoś draga, zjedz kanapkę, napisz wiersz o pięknie istnienia, ale miej litość. Dziś jest ciężka noc, daj ludziom żyć. – Kouch pokręcił głową i poczłapał do wyjścia.
 - Co z pacjentem? – Czechowicz zatrzymał go w drzwiach.
 - Wieńcowa, ale nie ma zawału. Przyjąłem go. Kto operuje tego podziurawionego?
 - Czarek
 - A ty?
 - Będę tutaj. Nie sądzę żeby to był koniec. Jakby na potwierdzenie jego słów do sali zajrzała zaniepokojona kobieta. Szukała wzrokiem lekarza.
 - W czym mogę pomóc? – spytał Robert.

- Mój mąż... – Przerwała, szukając słowa.
- Proszę wejść.
- Idę na górę – rzucił Kouch i machnął ręką do Czechowicza. W drzwiach minął się z łysawym mężczyzną w średnim wieku. Jego żona trzymała go mocno za rękę. Sala wyglądała jak pobojuwisko, lecz przez chwilę oprócz nich jakimś cudem nikogo w niej nie było. Resztki opatrunków, gazy, fragmenty gipsu, pobrudzone krwią prześcieradła tworzyły dość ponury widok. Robert szybko ocenił wzrokiem stan pacjenta, ale ponieważ nie krwawił i był przytomny, podszedł do telefonu, aby wezwać pomoc do sprzątnięcia sali; w trakcie ostrego dyżuru robiono to przynajmniej dwa, trzy razy. Wreszcie odłożył słuchawkę i pozwolił mówić niewysokiej blondynce około czterdziestki trzymającej troskliwie za ramię chorego.
- Mój mąż ma straszne drgawki, serce wali mu jak młot, chyba ma zawał – strzela jak z karabinu maszynowego.
- Proszę się położyć.- Czechowicz wskazał jedyne pozostałe na sali łóżko, wkładając słuchawkę. Mężczyzna trząsnął się jak na mrozie, był skulony, a twarz ukrywał w dłoniach. Usiadł ostrożnie na łóżku. Spojrzał na lekarza i dopiero wtedy się położył. Robert kilkakrotnie przełożył końcówkę słuchawek do klatki piersiowej pacjenta, po czym zdjął je na chwilę.
- Brał pan dzisiaj jakieś leki?
- Nnnie.
- On niczego nie chce brać – wtrąciła żona.
- Zdarzało się już to kiedyś?
- Co? – spytał nieśmiało mężczyzna.
- Taki stan.
- Nie. – Pokręcił głową, spoglądając tym razem na żonę. – To znaczy... nie aż taki.
- Proszę spróbować szeroko otworzyć oczy. – Robert przyjrzał się uważnie źrenicom, korzystając z małej latarki. Mężczyzna wciąż drżał. Czechowicz odłożył przyrząd na stół.
- Czuje pan taki... dziwny lęk?
- Tak, bardzo... bardzo silny.
- Niech pan spróbuje leżeć spokojnie. – Robert zauważył, że do sali weszła Kaśka. – Daj z szafki lorafen, jeden miligram – rzucił w jej kierunku – podłącz EKG.
- To mi nie zaszkodzi? – spytał z niepokojem mężczyzna.
- Z pewnością nie. Jak się pan nazywa?
- Tyszka, Jacek Tyszka.
- Panie Jacku, proszę to połknąć. – Pielęgniarka podała mu tabletkę i szklanek wody.
- Na pewno?
- Jest pan w szpitalu. Nic się nie stanie. Cały czas jestem z panem.
- Na co to?
- Znikną drgawki, przestanie się pan bać – uspokoił go Robert.
- Czy ja mam zawał?
- Jestem pewien, że nie, ale sprawdzimy to. Na twarzy pielęgniarki pojawił się lekki uśmiech, lecz szybko zniknął, kiedy Czechowicz skarcił ją wzrokiem. Skończyła podłączać elektrody i uruchomiła elektrokardiograf. Drgawki nagle ustały.
- Chyba pomaga ten lek – powiedział mężczyzna przejętym głosem. Robert uśmiechnął się do niego, kiwając głową, choć wiedział, że lorafen z pewnością nie zaczął jeszcze działać. Kaśka podała mu wykres. Przyjrzał mu się uważnie, pokiwał głową i oddał go pielęgniarce.
- I co, w porządku? – spytał z lękiem pacjent.
- W porządku. Trochę szybszy puls, ale w porządku. Niech pan spróbuje rozluźnić brzuch, muszę tu pana trochę po uciskać. Żona Jacka Tyszki uważnie przyglądała się wszystkiemu, co robi lekarz. Czasem tylko patrzyła na pielęgniarkę, jak by szukała potwierdzenia słuszności decyzji podejmowanych przez Czechowicz.

- No dobrze - zawyrokował wreszcie Robert.
 - Może pan zapiąć koszulę i spodnie. – Sięgnął po skierowania i recepty. Przez chwilę coś pisał , a następnie odłożył długopis.
 - Proszę państwa proszę mnie uważnie słuchać. Mężczyzna usiadł na łóżku, wbijając paznokcie w spodnie.
 - Poczekajcie sekundę – rzucił Czechowicz w stronę dwóch dziewczyn, które przyszły posprzątać, i odwrócił się do Tyszki. – To co Pana spotkało, to najprawdopodobniej pierwszy objaw tak zwanej nerwicy lękowo – depresyjnej. Takie stany niestety mogą się powtarzać, ale w dzisiejszych czasach potrafimy sobie nieźle z tym radzić. Jacek Tyszka przyglądał się mu, jak by mówił zupełnie nie na temat.
 - Ale ja nie mogłem oddychać, waliło mi serce. Czytałem , że tak się objawia zawał, i ...
 - Proszę pana- przerwał Robert spokojnym głosem – depresja potrafi genialnie naśladować objawy wielu chorób. Wywołuje przy tym lęk, stany apatii, smutku, tyle tylko że jest to, mówiąc wprost, takie chemiczne oszustwo. Zbyt mała ilość pewnych związków w mózgu plus stres i mamy to, co pan właśnie przeżył.
 - Aż trudno w to uwierzyć... – bąknął nieśmiało mężczyzna.
 - Czy teraz czuje się pan lepiej?
 - Znacznie.
 - No właśnie. Nie podałem panu leku kardiologicznego, tylko benzodiazepinę antylękową. Objawy powoli ustępują, prawda?
 - Tak... – Pacjent zdobył się nawet na uśmiech.
 - To skierowanie do psychiatry. – Robert wręczył Tyszce kartkę.
 - Do psychiatry?! – jęknęła żona.
 - To lekarz jak każdy inny. Ja jestem chirurgiem i nie pomogę pani mężowi tak jak specjalista. A sami możecie nie dać sobie z tym rady.
 - Ależ panie doktorze – kobieta otarła twarz chusteczką – mój mąż jest biznesmenem. Gdyby ktoś się dowiedział... było by po nim!
 - Proszę pani – Czechowicz zerknął w kierunku drzwi, aby upewnić się, czy nie pojawili się nowi pacjenci – badania wskazują, że najliczniejszą grupę chorych na wszelkie odmiany depresji stanowią tak zwani ludzie sukcesu. Artyści, biznesmeni, nawet politycy. Jestem pewien, że w biurze pani męża znaleźlibyśmy niejednego ciekawy przypadek.
 - Tyle że to ukrywają... – wtrącił Tyszka, kiwając z przekonaniem głową. Wyraźniej poczuł się pewniej , a na jego twarzy zagościł nawet nieśmiały uśmiech. Oddychał wolniej i spokojniej, jakby odpoczywał po ciężkim wysiłku.
 - Nie ma powodu, by specjalnie nagłaśniać to w pracy, ale też nie powinien pan się tego wstydzić, szczególnie przed sobą. Depresja jest dziś chorobą społeczną. Wiedzą państwo dlaczego? Bo większość osób, gdy dostaje podobne skierowanie, krzyczy tak jak pani: „O Jezu! Psychiatra!”
 - Ale panie doktorze, czy mąż...?
 - Ze sprawnością intelektualną pana Jacka wszystko jest w porządku. Oczywiście może czasami zapominać o pewnych sprawach. Będzie miał trudności z przypominaniem sobie jakiegoś wyrazu, ale są to zwykle objawy nerwicowe. Nie należy się tym specjalnie przejmować. – Robert uśmiechnął się, sprawdzając, czy komunikat dotarł do adresatów. – Mimo wszystko pojawił bym się na państwa miejscu u kardiologa – ciągnął. – I zrobiłbym podstawowe badania. Tu są skierowania. – Podał kolejne kartki.
 - Nie wiem, jak panu dziękować – powiedział już głośniejszym głosem Jacek Tyszka.
 - Naprawdę nie ma za co. Wypiszę panu leki. Proszę je brać, ale tylko do wizyty u kardiologa i psychiatry, dobrze?

- Dobrze, panie doktorze. W drzwiach pojawił się Sawicki.
- Są pacjenci? – spytał Robert.
- Nie, ale w twoim gabinecie czeka obiecująca osoba...
- Zaraz przyjdę. – Czechowicz się uśmiechnął. – Niech chwilę odpocznie. Z pewnością jeszcze nie koniec wrażeń na dzisiaj. Profesor Lech Wasylyszyn opadł ciężko na fotel. Chwile trwał bezruchu, po czym wolno przesunął się do biurka. Wyciągnął szufladę i wyjął teczkę z napisem „Prywatny Instytut Leczenia Nerwic i Depresji – Spis Pacjentów”, ale nie spieszył się z jej otwarciem. Klimatyzacja zaczęła wyraźnie szwankować, co objawiało się nie miłym zapachem podgniętych jajek. Drażniło to dodatkowo profesora, który i tak już od pewnego czasu wyprowadzony był z równowagi. Sięgnął po pilota, aby wyłączyć chłodzenie. Wołał już męczyć się w przegrzanym gabinecie, niż siedzieć w smrodzie. Doktor Andrzej Korwin spóźniał się, ale profesor nie tym się niepokoił. Uznał nawet, że to dobra okazja do zebrania myśli, co właśnie teraz było mu szczególnie potrzebne. Za oknem sierpniowe słońce rozpalało ulice i dachy domów; tegoroczne lato było trudne do wytrzymania. W takich chwilach Lech Wasylyszyn lubił wspominać zabawne spotkanie z grupą francuskich psychiatrów na ostatnim zjeździe w Paryżu, dwa lata temu, kiedy to szacowni uczeni z szacownego kraju żabojadów wygłosili światłą uwagę na temat różnicy klimatów między zaprzyjaźnionymi krajami. W skrócie, profesorowie wyobrażali sobie Warszawę jako wiecznie zasypaną śniegiem zapadłą miścinę, na ulicach której od czasu do czasu na zmianę z reniferami spacerują białe niedźwiedzie. Aż trudno było uwierzyć, że ci wykształceni, poniekąd obcy ludzie mają tak nieprawdopodobnie żalną wiedzę o krajach wschodniej Europy. Dla Wasylyszyna było to tym bardziej oburzające, że w końcu jeden z tych zaśniewanych, prymitywnych krajów wydał Kopernika, Chopina, Skłodowską – Curie czy Jana Pawła II. Mimo że minęło już tyle czasu, profesor nadal nie krył niechęci do tych nadętych gburów i podkreślał niejednokrotnie pogardę dla tego typu ludzi. Tym większa była satysfakcja Wasylyszyna, kiedy rok później szacowna delegacja żabojadów musiała złożyć rewizytę w Warszawie. Obserwując tonących w strugach potu uczonych, którzy w chodzili po raz pierwszy do hotelu Sobieski, profesor dławił się w myślach ze śmiechu. Widział w ich oczach wielkie znaki zapytania oraz ciężka do zniesienia tęsknotę za chłodnym, klimatyzowanym pokojem hotelowym i napawał się swoją małą zemstą. Pukanie do drzwi wyrwało go z zamyślenia. Wyprostował się, po czym leniwie otwierając teczkę, mruknął:
- Proszę. Chociaż zaproszenie nie było zbyt głośnie, drzwi otworzyły się i do gabinetu wkroczył doktor Andrzej Korwin w towarzystwie wysokiego, barczystego mężczyzny o mało przyjaznym wyrazie twarzy. Mięśniak wyraźnie nie pasował do tego otoczenia, a już z pewnością nie do schludnych, ubranych w białe fartuchy lekarzy. Był ostrzyżony na zapałkę, miał na sobie nieapetyczny T – shirt kupiony zapewne pod Stadionem Dziesięciolecia, sprane dżinsy, łaciate adidas, a na nadgarstku złotą bransoletę, na widok której nawet doświadczony profesor skrzywił się z niesmakiem.
- Siadajcie – rzekł bez namiętnie Wasylyszyn i zajrzał do teczki. Korwin z niepokojem obserwował oblicze szefa, tylko od czasu do czasu spoglądając na sąsiada. Profesor tymczasem nie spieszył się z rozpoczęciem rozmowy i wolno czytał materiały. Wreszcie doktor pochylił się do towarzyszącego mu mężczyzny.
- Gorec – powiedział cicho, wciąż obserwując szefa – zrób nam herbaty. Mężczyzna powoli wstał i wyszedł z gabinetu.
- Jesteś pewien, że ten półmózg będzie lojalny? – mruknął Wasylyszyn znad papierów.
- Gorec pracuje dla nas od pół roku – odparł szybko Korwin. – Nie ma z nim kłopotów.
- Nie pytam, od jak dawna dla nas pracuje –

burknął profesor, nie odrywając wzroku od materiałów – tylko czy jesteś pewien, że do końca pozostanie lojalny.

– Odkąd został szefem

ochrony, wszystko odbywa się bez zarzutu. – Młody lekarz nie mówił już tak pewnie, zwłaszcza od momentu kiedy Wasylszyn dość gwałtownie oderwał się od papierów i zawiesił na nim zniecierpliwione spojrzenie. – No... może z wyjątkiem tego ostatniego wypadku – wydukał, spuszczając wzrok jak uczeń. Profesor wciąż go jednak obserwował, chociaż na razie nic nie mówił. Drzwi otworzyły się i do gabinetu wkroczył Gorec, trzymając tacę z napojami. Postawił ją na biurku i bez słowa usiadł na swoim fotelu. Wasylszyn raz jeszcze przyjrzał się teczce, wreszcie zamknął ją i popatrzył chłodno na siedzących przed nim mężczyzn.

– Znaleźliście go? – spytał spokojnie.

– Jeszcze nie – odparł Korwin. – Ale Gorec mówi, że to kwestia godzin. Mięśniak skinął głową.

– Teraz nie ma już znaczenia, czy znajdziecie go za trzy czy za trzydzieści godzin – oznajmił dość obojętnie profesor. – Najprawdopodobniej jakieś dwadzieścia minut temu stracił przytomność. Gdy się obudzi, niczego nie będzie pamiętał.

– A jego wizyta tutaj? – spytał Gorec. Korwin ukrył twarz w dłoniach.

– No właśnie, panie kierowniku ochrony – burknął nie bez ironii Wasylszyn. – Facet zgłasza się do ośrodka, w którym leczy się depresje, nagle zasypia i budzi się cholera wie gdzie, nie rozumiejąc, o co chodzi. Bo nie pamięta, że wyszedł, a raczej uciekł o własnych siłach, kiedy nie przypilnowaliście go w czasie próby!

– Tak to będzie wyglądało z jego punktu widzenia – dodał Korwin.

– Zamknij się, Andrzej, i nie przerywaj mi – warknął profesor. – Która to była jego próba?

- Czwarta.

– Posłuchaj. – Wasylszyn zwrócił się teraz do Gorca. – Jeśli nie dostanie odpowiedniego leku, przez kilkadziesiąt minut będzie oszołomiony i bezradny. Może wyglądać na narkomana i za takiego będą go brali na ulicy. Niewykluczone, że nawet zgarnie go policja. Wtedy już byłoby bardzo źle. Musicie go znaleźć, zanim ktokolwiek się nim zainteresuje. Potem zacznie odzyskiwać świadomość i przypomni sobie wszystko, co się działo przed próbą. Jeśli tak się stanie i ktoś mu uwierzy, będą bardzo poważne kłopoty.

– Wszyscy go

szukają, nie ucieknie – zapewnił Gorec.

– Już uciekł – przerwał mu profesor. – A ty masz za wszelką cenę sprowadzić go z powrotem. Inaczej zafunduję ci taki odlot, że powrót zajmie ci całe lata. Gorec nie należał raczej do strachliwych, ale Wasylszyn był jednym z niewielu ludzi, których się obawiał. Wiedział, że z profesorem nie ma żartów i każde jego słowo należy traktować poważnie.

– Mogę wyjść? – spytał cicho.

– Natychmiast dzwoń, kiedy już się wszystko wyjaśni.

- Oczywiście.

Gorec podniósł się i szybko wyszedł z gabinetu. Profesor skinął na Korwina, by jeszcze chwilę został.

– Pilnuj go – rzekł cicho, gdy ochroniarz zniknął za drzwiami.

– Może mu pan ufać – odparł Korwin. – To bardzo pewny człowiek.

– Słyszałem i wierzę ci. Jesteś lekarzem, a nie policjantem, i rozumiem to, ale mimo wszystko proszę, żebyś miał na niego oko.

– Jak pan sobie życzy, ale myślę, że to zbędne.

– Będziesz tego samego zdania, gdy wylądujemy w więzieniu z dożywociem? –

Zajrzał młodemu lekarzowi w oczy. Korwin wciągnął głęboko powietrze.

– Przepraszam, ale chyba coś tu śmierdzi. – Skrzywił się, czując resztki zapachu wydzielanego przez klimatyzację.

– Coraz bardziej – mruknął zimno profesor. Korwin zamarł na chwilę

– Będę miał na niego oko – powiedział i dopił herbatę. Doktor Robert Czechowicz przebił się przez tkankę tłuszczową i dotarł do sieci większej otrzewnej. Skalpel wydał mu się jednak dziwnie ciężki, przez co nie wygodnie leżał w dłoni. Każdy następny ruch był coraz trudniejszy, jakby palce trzymające nóż nienaturalnie odrętwiały, niezdolne do precyzyjnych cięć. Twarz wilgotniała mu od potu, ale nie czuł gorąca. Nagle wykonał niespodziewany ruch i w jednej sekundzie potężny strumień tętniczej krwi chlusnął mu w twarz. Otarł szybko oczy gazą. Krwotok stawał się coraz obfitszy. Aorta zastępująca?! – pomyślał przerażony. Przecież nie powinno jej tu być!!! Spojrzał w panice na twarz pacjenta i zauważył z trwogą, że pod powiekami jego gałki oczne zaczynają wykonywać dziwne ruchy. Wreszcie oczy się otworzyły. Mężczyzna spokojnie wyjął rurkę intubacyjną. – No i co teraz będzie? – mruknął, patrząc hipnotycznie prosto w oczy doktora.

– Nie wiem, gdzie jest zespół... – jęknął zdruzgotany Czechowicz.

– Uciekli. Jesteś nędznym lekarzem. Za chwilę się wykrwawię, a ty stoisz tu jak kretyn. – Nie jestem złym lekarzem – bąknął Robert. – Ciężko pracuję i wszyscy mówią, że jestem najzdolniejszy na tym oddziale.

– Nie słuchaj ich, to hipokryci. Będą się podlizywać, dopóki nie staniesz się niepotrzebny. Wyssą z ciebie wszystko i znikną... Mężczyzna opadł z powrotem na stół. Włączył się jakiś dziwny alarm, którego Czechowicz nigdy wcześniej nie słyszał. Skalpel wypadł mu z ręki... Zerwał się nagle, otwierając oczy. Przez żaluzji wpadało popołudniowe słońce. Było gorąco i dość duszno. Otarł ręką pot z czoła, budząc się do reszty. Starał się opanować oddech i uspokoić. Telefon dzwonił od pewnego czasu, ale Robert nie zwracał na niego uwagi. Sięgnął po szklanekę z wodą i szybko ją opróżnił. Wziął głęboki oddech, po czym wcisnął na aparacie, który stał tuż obok, na stoliczku, guzik „phone”.

– Robert? Jesteś tam? – usłyszał głos Jolki.

– Tak – powiedział cicho zaspanym wciąż głosem.

– Jeszcze śpisz?! Jest trzecia po południu!

– Odsypiam dyżur, miałem idiotyczny sen. – Rozejrzał się po pokoju, szukając butelki coli. – Wieczorem zabieram cię na przyjęcie, pamiętasz?

– A ten twój goguś? – Robert był już prawie całkowicie przytomny.

– Wyjechał na tydzień do Szczecina. O co ci chodzi? Mówiłeś, że chcesz tam pójść. Będzie ten sławny psychiatra, pamiętasz? Będą Gutowiczowie, ten jajo głowy... jak on się nazywa... Skotnicki.

– Wiem, w porządku. – Czechowicz spuścił nogi na podłogę, zdjął słuchawkę ze stacji i wstał. – Muszę gdzieś wpaść, ale później po ciebie przyjadę.

– O siódmej?

– Będę. Odłożył słuchawkę na stację. Przeciągnął się, czując, jak mięśnie przyjemnie relaksują się po śnie. Z pewną nadzieją spojrzął w stronę lodówki, licząc na to, że zostało w niej jeszcze kilka jajek. Ser żółty z pewnością zjedzony, wędlina i twarożek – tak samo. Mógł liczyć tylko na jajecznicę. Na drzwiach lodówki znalazł ocalałe trzy jajka, co rozwiązywało problem śniadania. Półkę niżej stała margaryna, a o połowie bułki zostawionej poprzedniego dnia w „chlebownicy” jeszcze pamiętał. Zerknął na grafik przygwożdżony magnesem do drzwi lodówki i z ulgą zauważył, że w pracy ma się pojawić dopiero po jutrze o dziewiątej. Sala widzeń przypominała zaniedbaną, nadającą się do remontu stołówkę. Oprócz kilku rozchwianych stolików, przy których siedzieli już więźniowie oczekujący na rodziny i przyjaciół, właściwie żadnych mebli tu nie było. Światło wpadające przez zakratowane okna obnażało ponurą brzydotę odrapanych ścian, ale mało kto zwracał na to uwagę. Większość skazanych równie

dobrze mogłaby się spotykać z bliskimi w piwnicy, byle tylko mieć taką możliwość. Przy jednym ze stolików Robert dostrzegł wpatzonego w okno mężczyznę. Miał około sześćdziesięciu lat, ale niemal całkowicie siwe włosy sprawiały, że wyglądał na trochę starszego. Wystukiwał palcami na blacie marszowy rytm, nucąc cicho pod nosem Yellow Submarine Beatlesów. Był starannie ogolony, siedział prosto, elegancko, może nawet dumnie. Czechowicz pomyślał, że widok tego dystyngowanego człowieka wśród zwykłych przestępców, którzy nie rzadko mieli wypisaną na twarzach swoją przeszłość, jest jeszcze bardziej absurdalny niż historia, która go tu sprowadziła, a z której zrozumieniem Robert wciąż miał sporo problemów. Podszedł i usiadł na krześle po drugiej stronie stolika.

– Cześć, tato – mruknął cicho, patrząc przez moment na strażnika stojącego przy drzwiach. Mężczyzna odwrócił się od okna i szeroko uśmiechnął.

– Cześć, synku.

Co u ciebie słychać?

– Przepraszam, że ostatnio nie byłem, ale wypadł mi niespodziewany dyżur. – Robert odetchnął głęboko.

– Nie przejmuj się. – Stary Czechowicz machnął ręką. – Ważne, że jesteś teraz.

– Jak jest? – Robert wciąż mówił bardzo cicho.

– Ciężko, ale się przyzwyczajam.

– Jak twój... koledzy z pokoju? – Nadal ciężko mu było wymówić słowo „cela”.

– W porządku. To tacy faceci jak ja. Nikogo nie zabili, nikogo nie napadli.

– Tu nie ma takich jak ty. – Robert poprawił się nerwowo na krześle. – To kryminaliści. Stary Czechowicz pokręcił z rozczuleniem głową.

– Ja też jestem przestępcą, synku – odparł spokojnie. – Oszukałem państwo na grube pieniądze i dlatego tu jestem. Popełniłem błąd, ale fakt jest faktem. Pogódź się z tym i nie udawaj, że nic się nie stało. Tyle razy już o tym rozmawialiśmy.

– Tato, jak tylko...

– Ty wciąż udajesz, że jest jak dawniej. – Mężczyzna przerwał na chwilę. – Ale nie akceptując sytuacji, w jakiej się znaleźliśmy, utrudniasz mi zniesienie tego i... sam się wpędzasz w niepotrzebne komplikacje.

– Niepotrzebne komplikacje?! – Robert pierwszy raz podniósł głos. – Co to za sformułowanie?!

– Nie kłómy się. – Stary Czechowicz zamknął na kilka sekund oczy, jakby zbierał myśli. – Wiesz, zabrali tego faceta od nas – wybuchnął nagle, próbując zmienić temat.

– Jakiego faceta?

– Tego, o którym ci ostatnio opowiadałem. Tracił przytomność, miał drgawki...

– A, wiem – przypomniał sobie Robert. – Ten z epilepsją.

– No właśnie. Kiedy do nas przyszedł, od razu dostał tego ataku. Pamiętasz, mówiłem ci o tym. Zjawił się lekarz i parę dni później gdzieś go przenieśli.

– Nie miał w papierach, że jest chory?

– No, nie. A co u ciebie?

– Jakoś leci.

– Mów prawdę, bo i tak poznam, że coś się dzieje.

– Ogólnie wszystko w porządku, tylko wciąż mam te sny...

– Znowu?!

– Kilka razy w miesiącu. Stary Czechowicz rozejrzał się po sali, jakby sprawdzał, czy żaden z więźniów ich nie podsłuchuje.

– Wciąż ta kobieta w dziwnym stroju?

– Wierzysz mi? – Zajrzał ojcu głęboko w oczy.

– Oczywiście. Jesteś lekarzem, nie mówił byś mi głupot. Robert pokiwał głową.

– Widzisz, ona jest taka... realna. Gdybym zobaczył ją na ulicy, poznał bym bez

problemu. Zwykle jeśli śni ci się ktoś, kogo nie znasz, nie zapamiętujesz jego twarzy. To po prostu wytwór umysłu, ale ona...

– Cały czas wygląda tak samo?

– Tak, jest ubrana bogato, w stylu bliskowschodnim. W tych snach... przyjaźnimy się, może nawet ona mnie kocha.

– No, tym bym się nie martwił. – Ojciec się uśmiechnął.

– Ale zawsze po jakimś czasie – ciągnął poważnie Robert – zaczyna się dzieć coś złego. Nie potrafię tego dokładnie określić, ale wiem, że nadciąga niebezpieczeństwo. Próbuję się obudzić, ale nie mogę. W pewnym momencie już wiem, że śnię, a wciąż nie mogę odzyskać przytomności. Czasem wydaje mi się, że już się obudziłem, wstaję i znów widzę tę kobietę. A najgorsze jest to, że kiedy wreszcie udaje mi się ocknąć, nie pamiętam, co się stało. To znaczy, o jakie niebezpieczeństwo chodziło.

– Jak to możliwe?

– Wyraźnie to czuję. Niepokój, lęk, później coś się dzieje, ale po przebudzeniu nie pamiętam tego. Tylko tę kobietę i dziwne rzeczy, które niekiedy robimy.

– To znaczy?

– Chodzimy po jakimś pałacu, jesteśmy na pustyni, błądzimy po jaskiniach... trudno mi to wyjaśnić. Stary Czechowicz patrzył jakiś czas na syna, nic nie mówiąc.

– Myślałeś o tym, żeby iść do psychologa? – zapytał po chwili.

– Jestem lekarzem, dam sobie radę.

– Ale nie psychologiem. Robert machną ręką, jakby nie chciał już o tym mówić.

– To tylko sny. Nieprzyjemne, ale tylko sny.

– Kiedy ostatnio ci się to przytrafiło?

– Parę dni temu, chociaż dzisiaj też miałem idiotyczny sen. Nie, nie o tej kobiecie – dodał szybko, uprzedzając pytanie ojca. – O szpitalu. Kroję faceta, a tu nagle znika mój zespół, pacjent się budzi i opowiada mi jakieś głupoty, w dodatku bluzgając krwią. Stary Czechowicz skrzywił się i zasłonił mimowolnie usta.

– To wszystko jest bez sensu – ciągnął Robert. – Chyba muszę wziąć urlop.

– Masz nerwy w fatalnym stanie. Uważam, że powinieneś poprosić kogoś o pomoc.

– Koniec widzeń, proszę kończyć! – usłyszeli głos strażnika spod drzwi.

– Dbaj o siebie. – Robert ponownie ściszył głos. – Nikt ci tu nie próbuje robić krzywdy?

– Ależ skąd! Mówiłem ci, że w mojej celi siedzą sami defraudanci.

Takie głupoty są tylko w amerykańskich filmach.

– Trzymaj się, tato. – Czechowicz wstał, pochylił się i pocałował ojca w policzek.

– Będzie dobrze. – Starszy mężczyzna podniósł się, ale jeszcze na chwilę się zatrzymał. – Wiesz co? Dwie cele dalej jest facet, który lubi trzymać rękę nad palącą się świeczką. Taką ma zabawę. Kilka razy mocno się poparzył. Podobno widział to w jakimś filmie. Zapytałem go, jak to robi, że tak wytrzymuje ból. A on mi na to:

„Najważniejsze to się nie przejmować”. – No fakt. – Robert z dezaprobatą pokręcił głową.

– Będzie dobrze. – Stary

Czechowicz uśmiechnął się i szybko ruszył w stronę wyjścia dla więźniów.

Willa, przynajmniej z zewnątrz, prezentowała się okazale. Na tle sąsiednich domów wyróżniała się nie tylko wielkością, ale także – co lubili podkreślić gospodarze – oryginalnymi rozwiązaniami architektonicznymi. Kilkupoziomowy dach, duży taras, kilka balkonów i przedziwna kolorystyka całości zwracały uwagę, szczególnie zaś zielona dachówka i czerwone ramy okien na tle białego – brązowego tynku. Ta część Mokotowa nigdy do najbiedniejszych nie należała, ale raczej utrzymywała się w tradycyjnym stylu. Niestety, odkąd kilka ekstrawaganckich nowobogackich rodzin wprowadziło tu tak daleko idący „niepokój twórczy”, ta część dzielnicy na zawsze zmieniła charakter i klimat. Na szczęście

po zderzeniu z ucieleśnieniem szalonych wizji gospodarzy goście mogli trochę wypocząć w tradycyjnych ogrodach, które – co ciekawe – większości nawiązywały formą do tradycji, i to nie rzadko z przed XX wieku. Robert nigdy tu nie był, ale Jolka lubiła zabierać go na przyjęcia do swoich znajomych, nie jednokrotnie chwalać się interesującymi przyjaciółmi, takimi jak choćby kontrowersyjny dziennikarz Adam Pil czy znany psycholog i psychiatra Kamil Kostecki, który miał być jednym z gości. O gospodarzach do niedawna Robert niewiele wiedział, ale w samochodzie Jola nie próżnowała. Zdążyła wyłożyć mu pół ich życiorysu, od skromnego początku w postaci sklepiku ze zdrową żywnością, aż do wielkiego przedsiębiorstwa sprowadzającego i produkującego leki naturalne. Jak to skrótowo ujęła, byli „nadzianie po pachy”, ale woda sodowa do głów im nie uderzyła. Pozostali sympatycznymi, skromnymi ludźmi, choć trzeba też przyznać – dość rozrywkowymi. Przyjęcie miało charakter typowego stand – up, wypełnionego przyciszonymi rozmowami o interesach, polityce i rozrywce, ze starannie dobranym acid - jazzem w tle. Główny salon, w którym zgromadziło się najwięcej gości, nie był już tak odważny architektonicznie, jak sugerował widok z zewnątrz. Miał przynajmniej 60 metrów, a mimo to był doskonale i – co rzadkie – gustownie oświetlone. Wysoki jak na willowe budownictwo sufit stwarzał wrażenie przestrzeni i swobody, a przy tym elegancji i, subtelnie zaznaczonego wystrojem wnętrza, szacunku dla tradycji.

– O, jest Kostecki – zapiszczała Jola, szturchając w bok Roberta.

– Widzę – mruknął jakby od niechcenia, rozglądając się po salonie. Na widok psychiatry nie znani mu ludzie kiwali przyjaźnie ręką bądź pozdrawiali go szerokim uśmiechem.

– Chodź, przedstawię cię. – Jola pociągnęła go mocno za rękaw marynarki. Czechowicz mimo swojej niezachwianej pozycji nie znał zbyt wielu sław. Jedyną osobą publiczną, z którą się przyjaźnił, był Jędrzej Morawiecki, kolega jeszcze z ogólniaka. Jędrzej kilka lat temu zrobił dość gwałtowną karierę w mediach. Po czternastu latach jako prezenter i producent w radiu, a później również w telewizji, został przed kilkoma miesiącami rzecznikiem prasowym rządu, co niestety czas, jaki mogli sobie poświęcić. Mimo to nie zaniedbywali znajomości i przynajmniej kilka razy w miesiącu spotykali się na lampce wina lub brydzu z żoną i siostrą Jędrzeja.

– Hej! Jesteś tu? – Jola potrząsnęła zamyślonym Robertem.

– Przestań. Jasne, że jestem – mruknął, zbliżając się do stojącego w rogu z lampką białego wina i – co ciekawe – pozbawionego towarzystwa doktora Kosteckiego.

– Panowie pozwolą. – Jola uśmiechnęła się. – Nasz wspaniały psychiatra i psycholog, doktor Kamil Kostecki. Znacznie mniej wspaniały, choć przystojny gbur i niewdzięcznik, Robert Czechowicz, chirurg i podrywacz. – Miło mi pana poznać. – Kostecki wyciągnął przyjaźnie rękę, uśmiechając się szeroko.

– Cała przyjemność po mojej stronie. – Robert mocno uściskał dłoń psychiatry.

– To chyba rzadkie, że psychiatra jest równocześnie psychologiem? – wtrąciła Jola, zaglądając głęboko w oczy Kosteckiemu.

– Jest nas kilku – odpowiedział uprzejmie lekarz. – Interesuje się pani naszym zawodem, pani Jolu?

– Okazyjnie – odparła zalotnie. – Nie każdy potrafi tak skutecznie zajrzeć do damskiej duszy...

– W zdrową duszę zajrzeć jest znacznie trudniej. Nas nauczono pomagać tym cierpiącym i zagubionym...

– Och, panie doktorze. – Jola przybrała filozoficzną minę. – W dzisiejszych czasach każdy jest trochę zagubiony, a nawet jeśli nie, to powinno to należeć do dobrego tonu.

– Typ twórczej skromności?

– Niegroźnej i wyuzdanej hipokryzji.

– Gratuluję. Jak to rzekł niegdyś światle Konfucjusz: „Człowiek tym różni się od zwierzęcia,

że z wszystkich fałszywych kroków umie uczynić cnotę”.

– Dokucz mi pan, doktorze. – Jola ponownie się uśmiechnęła. – Ale wybaczam panu. Za karę zostawiam pana z tym nudziarzem, muszę przywitać się z przyjaciółmi.

– Proszę jej wybaczyć, bywa nieznośna – powiedział Czechowicz, odprowadzając wzrokiem przyjaciółkę.

– Niech pan uważa, doktorze – rzekł dosadnie Kostecki. – Z inteligentnymi kobietami życie jest ciekawe i ...krótkie.

– Nie śmiem polemizować. – Roberta rozbawiła ta uwaga.

– Przejdzie się pan ze mną na taras? – spytał pogodnie psychiatra.

– Oczywiście. – Czechowicz ujął kieliszek wina i ruszył w kierunku wielkich drzwi balkonowych. Taras był bardzo duży, ale mimo ciepłego wieczoru nikt nie kwapił się na razie do podziwiania nocy. Robert oparł się o balustradę i patrzył jakiś czas w milczeniu na miasto.

– Wiele dobrego o panu słyszałem - powiedział Kostecki, przerywając chwile ciszy. – Najlepszy uczeń profesora Zielińskiego, świetny chirurg, a przy tym dobrze potrafiący kierować zespołem.

– Dziękuję.- Robert był trochę onieśmielony. – Jest pan bardzo uprzejmy. Choć nie wiem, skąd czerpie pan tę zbyt łaskawą dla mnie wiedzę.

– Chciałbym poradzić się pana jako lekarza. – Kostecki zignorował skromność Czechowicza.

– Słucham? – Robert nie potrafił ukryć zdziwienia.

– Wie pan, że zajmuję się hipnozą.

– Oczywiście.

– Leczę w ten sposób silne lęki depresyjne i fobie około nerwicowe. Wierzy pan w skuteczność tych metod?

– Przyznam, że nie mam zdania.

– Uprzejmie, ale nieszczerze. – Psychiatra uśmiechnął się.

– Rozumiem pana, doktorze. Wydaje się panu, że w pańskiej specjalności takie metody nie mogą znaleźć zastosowania.

– Pan ma inne zdanie? Kostecki odstawił kieliszek na pobliski stolik i, podobnie jak Robert, przez chwilę przyglądał się światłom miasta.

– Grał pan kiedyś w go? – spytał nagle.

– Obawiam się, że nie.

– To chińska gra, znana już cztery tysiące lat temu. Jej wynalezienie przypisuje się cesarzowi Shum, władcy Chin z dwudziestego trzeciego wieku przed naszą erą. Podobno spisał zasady z myślą o swoim synku, dla którego trening ten miał być szkołą myślenia. W rzeczywistości to niezwykle skomplikowana gra strategiczna o znacznie większej liczbie kombinacji niż na przykład szachy.

– Interesujące – przyznał Czechowicz.

– Walcząc z psychozą lub nerwicą pacjenta, lubię myśleć o go. Mózg to mocny przeciwnik, a w dodatku najczęściej nas lekceważy. Nie docenia nas i postrzega ciało jako prymitywny zlepek prostych urządzeń, takich jak serce, wątroba czy nerki. Dlatego wykorzystuje tylko niewielki procent swojego potencjału, dając nam złudzenie świadomości, a czasem nawet wysokiej inteligencji. Tak naprawdę nie wiemy, co jest dalej. Są całe partie mózgu, o których nie mamy niemal zielonego pojęcia. Nie jest pan ciekaw, co tam się kryje?

– Oczywiście, że jestem - odparł Robert. Psychiatra skinął nieznacznie głową, jakby chciał wyrazić szacunek dla tej deklaracji.

- To banał – ciągnął Kostecki – ale psychiatria jest po prostu pojedyńkiem z własnym umysłem. To strategiczna gra, w której, co ciekawe, obaj konkurenci bez żenady oszukują. Umysł podpowiada człowiekowi strach przed jeżdżeniem windą, serwuje astmę lub wysypkę o podłożu stresowym, a chorego na depresję oszukuje obrazem ponurego, szarego świata. Lekarz także oszukuje, zmieniając lekami chemię, stosując psychoterapię, wreszcie zadając

podstępemu draniowi cios w plecy... hipnozą. Baję – baję, skonstatował w myślach Robert, ale przysłuchiwał się z zainteresowaniem, choć nie potrafił zgadnąć, dlaczego ten wybitny lekarz i naukowiec poświęca mu tak wiele czasu. Być może po prostu lubił opowiadać o sobie, wsłuchując się narcystycznie w tembr swojego głosu i szukając objawów zachwyty u słuchaczy. A może chodziło o coś innego, mniej przyziemnego, lecz niekoniecznie interesującego skromnego chirurga. Przemęczony Czechowicz nie mógł tego dnia sprawić satysfakcji rozmówcy swym zaangażowaniem i podziwem. Ograniczył się więc do uprzejmego, choć niespecjalnie twórczego skupienia uwagi.

– Miałem wczoraj pacjenta, któremu pańskie metody z pewnością dałyby wiele dobrego – powiedział, również odstawiając kieliszek.

- Większości pańskich pacjentów mogłyby one dać sporo korzyści – podchwycił Kostecki.

– Wiem, że wy, psychiatrzy, uważacie, że do końca zdrowych ludzi nie ma. - Czechowicz uśmiechnął się. – Ale byłbym za bardziej optymistyczną wersją oceny stanu naszej populacji.

– Nie rozumie – pan – zaproponował psychiatra. – Pańskim pacjentom przed i po zabiegu towarzyszą silny stres, lęk, niepewność. Skuteczność pańskiego leczenia, stan organizmu w trakcie operacji i podczas rekonwalescencji ściśle zależy od stanu psychiki.

– To nie potwierdzone naukowe teorie.

– Nawet jeśli, to co szkodzi wprowadzić, choćby eksperymentalnie, taki elektryczny sposób terapii. Naukowo dawno już dowiedliśmy, że hipnoza nie powoduje żadnych efektów ubocznych.

– Podniosłoby to koszty.

– Niech pan nie przesadza. Czasem warto wsłuchać się w myśli starożytnych medyków chińskich. Wciąż jesteśmy o lata świetlne za nimi. Robert zdecydował, że nadeszła pora na niewielki bunt.

– Chce pan dać nadzieję zestresowanym pacjentom, eksperymentując z niekonwencjonalnymi metodami, które dodatkowo obudzą ich strach? Kostecki nie odpowiedział od razu. Spokojnie przyglądał się młodszemu koledze po fachu.

– Wspomniałem dziś panu o go. Jest taki ruch, szczególnie podstępny i skuteczny. Nazywa się „hasami” albo inaczej „japońskie cięcie”. Nie tylko ogranicza pole działania przeciwnika, ale także nie daje mu uciec. Atakuje z dwóch stron. Pan uderza z jednej, ja z drugiej i nagle jest o czym pisać habilitacje. – Kostecki ponownie zajął głęboko w oczy Robertowi. Tym razem Czechowicz nie odpowiedział, próbując odgadnąć, czy zamiary pana doktora nie wykraczają przypadkiem lekko poza balangową pogawędkę.

– Próbował pan kiedyś tego? – zagadnął Kostecki.

– Czego?

– Hipnozy. Choćby dla zabawy.

– Raczej nie.

– Jest pan zawsze uśmiechnięty? Pełen zdrowego zadowolenia? Niczego pan nie potrzebuje?

– Nie narzekam. Czasem mam koszmary senne, nic wielkiego. – Szybko pożałował, że to powiedział.

– Nie lekceważyłbym snów. Freud wiedział to już sto lat temu.

– To nic takiego. – Czechowicz marzył, aby wreszcie pogadać o pogodzie.

– Czy te sny się powtarzają?

– Raczej tak.

– Są podobne? Takie same?

– Podobne... Śni mi się ciągle ta sama osoba. – Chirurg ponownie ugryzł się w język.

– Zna pan tę osobę?

– Nie.

– Zagadkowe...

– To naprawdę żaden problem. Jeśli tylko będę miał jakiegokolwiek kłopoty, błyskawicznie

zjawię się w pańskim gabinecie.

– Po co czekać? – usłyszeli za sobą kobiecy głos.

- Pani Jola jest za. - Kostecki roześmiał się.

- Byłby pan w stanie zahipnotyzować tego niedowiarka? Tu i teraz?

– Nie mówicie poważnie – mruknął Czechowicz, zbierając się do ucieczki.

– Ależ najzupełniej poważnie - odparł pogodnie Kostecki. - Mamy tu nawet pokój do takich rozrywek. Wiele osób poddało się eksperymentowi i były bardzo zadowolone.

- Do tego trzeba szczególnych warunków. Przecież to trudne... - bronił się Robert.

– Nic podobnego - zaproponował psychiatra. - Wolberg opisał kiedyś przypadek dziewczynki, która opanowała technikę hipnozy, oglądając wyłącznie film. Później skutecznie wypróbowywała zdobytą wiedzę na innych dzieciach.

– Przecież to zabawa, nie bądź gburem – zakwiliła Jola.

– Tylko mała hipotaksja – zapewnił Kostecki. Czechowicz nie miał wyjścia. Wykrzywił usta w coś na znak uśmiechu i skinął głową.

– No dobrze, czemu nie. – Z pewnym zdziwieniem doszedł do wniosku, że nawet podoba mu się ten pomysł.

– To idziemy. – W oczach Joli błysnęły iskierki. Ruszyła żwawo w stronę salonu, szukając wzrokiem gospodyni. Stała dość blisko, przy tacy z ciastkami.

– Gosiu, dasz klucz do gabinetu? – wyrecytowała tajemniczo.

– Macie nową ofiarę? – spytała zalotnie kobieta.

– Cicho. – Jola szturchnęła przyjaciółkę. – Płoszysz zwierzynę. Gospodyni wyjęła z kieszeni klucz i wręczyła go dyskretnie Kosteckiemu, po czym wmieszała się w tłum gości.

– Chyba często korzystacie z tego pokoju, skoro pani domu trzyma klucz przy sobie – mruknął Robert.

– Spokojnie. Oprócz tego, że jesteśmy satanistami, wszystko z nami w porządku. – Jolka wybuchnęła śmiechem. – Idziemy. Ruszyła w kierunku schodów na górę.

– Jak wiele osób jest podatnych na hipnozę? – spytał Czechowicz, idąc potulnie za dziewczyną.

– Kratochvil twierdzi, że tylko pięć procent całkowicie nie nadaje się do tego – odpowiedział Kostecki. – Ale nawet wśród tych osób predyspozycje z czasem mogą się zmieniać.

– Zdarzają się... no, jakieś wypadki? – Robert zorientował się, że to pytanie zabrzmiało dość głupio. Psychiatra potraktował je jednak poważnie.

– Pacjenci zawsze się budzą. Nawet jeśli terapeuta nie wybudzi ich osobiście. Czechowicz poczuł się znacznie pewniej. Zauważył, że senność mija, a górę bierze ciekawość.

Zdecydował się nawet uważniej przyrzeć pupie Jolki wchodzącej po schodach, co było objawem coraz lepszego humoru.

– Aszszsz!!!

Robert nagle zbudził się i szeroko otworzył oczy. Natychmiast napotkał spokojny wzrok doktora Kosteckiego, metr dalej na fotelu siedziała uśmiechnięta Jola. Znów był w niedużym, zaciemnionym gabinecie, do którego przyprowadzili go niedawno. Siedział dziwnie skulony na wielkim skórzanym fotelu i, ku swojemu zdziwieniu, nie pamiętał nic z seansu.

– Co ja powiedziałem? – zdziwił się, prostując nogi.

- Trudno stwierdzić. Wyszedł pan z tarasu dość gwałtownie, ale wszystko jest w porządku – zapewnił go psychiatra.

– Dlaczego nic nie pamiętam? – Robert był lekko rozdrażniony.

– Tak się niestety zdarza. Pani Jola wszystko panu opowie. Kostecki się uśmiechnął.

Czechowicz spojrział odruchowo na zegarek.

– Co?! – powiedział głośniejszym głosem, niż planował, ale czuł się dziwnie rozdrażniony. – Dlaczego to trwało tak długo?

– Nie przesadzaj, niecałą godzinę. – Jola machnęła ręką. Dziwny niepokój i ból głowy nie

podobały się Robertowi. Wstał jednak bez wysiłku i rozejrzał się po pokoju.

– Dajcie mi coś do picia.

– Jasne. – Dziewczyna zachichotała i podeszła do barku. – Byłeś bardzo niegrzeczny, opowiadałeś o naszym wczorajszym popołudniu. Świntuszek... – Pokiwała palcem.

– Bardzo śmieszne.

– Proszę się nie obrażać, seans był bardzo udany. Chętnie podyskutuję o tym z panem, doktorze – wtrącił poważnie Kostecki.

- Jak tylko chwilę odpocznę – powiedział niepewnie Czechowicz, otrzepując spodnie.

– Pańska komórka dzwoniła dziesięć minut temu, numer wyświetlił się na aparacie. –

Psychiatra podał mu telefon. Czechowicz dostrzegł na wyświetlaczu domowy numer Jędrzeja Morawieckiego.

– Przepraszam – rzucił. – Muszę zadzwonić. – Wyszedł na korytarz i wystukał numer.

– Słucham – usłyszał głos przyjaciela.

– Co się stało? Rząd upada?

– Nie. – Morawiecki roześmiał się. – Mam do ciebie wielką prośbę.

– Dawaj.

– Za dwa dni muszę spotkać się z prasą w sprawie tej regulacji o prawach chorych, wiesz, o co chodzi?

– Jasne.

– W medycznych sprawach średnio się orientuję. Przejrzysz materiały i przełożysz mi kilka spraw na polski? Chirurg zerknął na zegarek.

– Wiesz co, mogę wpaść nawet zaraz.

– Poważnie?!

– Jestem na przyjęciu, które trochę mnie już zmęczyło. Chętnie się wyrwę.

– Doskonale, czekam. Czechowicz rozłączył się i wrócił do gabinetu.

– Mam nadzieję, że mi wybaczycie – zaczął przepraszająco. – Obawiam się, że muszę jechać. Nie obrazisz się, Jolu?

– Przyzwyczaiłam się. Takie życie dziewczyny lekarza.

– Wynagrodzę ci to. – Poczł nagle silny ból głowy, więc zamknął na chwilę oczy i przetarł czoło dłonią. – Odwieźć cię?

– Nie, jeszcze trochę tu zostanę.

– Cholernie rozbolała mnie głowa. – Czechowicz poklepał się po kieszeniach. – Nie mam niczego przy sobie.

- Szewc bez butów chodzi – powiedziała ze współczuciem Jolka. – Masz, zostały mi dwa panadole.

Wręczyła mu tabletki.

– Dzięki. To się zdarza? – spytał Kosteckiego.

– Rzadko, ale to nic groźnego. Mimo wszystko radziłbym łyknąć ten paracetamol już w domu. Bezpośrednio po seansie może panu spowolnić reakcje za kierownicą. Robert schował tabletki do kieszki.

– Jakoś wytrzymam. Dziękuję za pełen wrażeń wieczór.

– Mam nadzieję, że się jeszcze spotkamy.

– Z pewnością. Przecież nie dowiedziałem się, co wam naopowiadałem w czasie tej zabawy. Ale możemy to odłożyć przynajmniej do jutra.

– Pani Jola nas ze sobą skontaktuje. Liczę, że przekonam pana do terapii elektrycznej.

– Przemyślę to – rzucił Czechowicz w drzwiach. – Miłego wieczoru. Gdy drzwi się otworzyły, Robert ujrzał Ewę, żonę Jędrzeja.

– Cześć – rzuciła wesoło. – Jest u siebie, trochę rozbolała go głowa.

– Jego też? – Czechowicz pocałował Morawiecką w czoło. – To chyba jakaś epidemia.

Wkroczył do przedpokoju, przeszedł kilka metrów i otworzył drzwi gabinetu. Pokój, w

którym pracował rzecznik rządu, był od dawna przedmiotem zazdrości Roberta. Idealny porządek, dwa biurka: jedno do komputera, drugie do pracy papierkowej, kanapa „do myślenia”, jak to nazywał Jędrzej, a na małym regale wieża stereo, z której dobiegała często cicha muzyka relaksacyjna. Całość świetnie dopasowana, czego Czechowicz nigdy w swoim mieszkaniu osiągnąć nie potrafił.

– Aleś ty odpieprzony – buchnął śmiechem Morawiecki.

– Mówiłem ci, że byłem na przyjęciu.

– A tak, tak... Zerkniesz? – Jędrzej podał mu papiery.

– Jest tego trochę...

– Odwdzięczę się.

– Nie wygłupiaj się. – Robert znów złapał się za głowę.

– Ciebie też boli łeb? – Na twarzy Morawieckiego widać było zmęczenie, które jednak nie psuło mu dobrego nastroju.

– Ach, szkoda gadać. – Robert machnął ręką, nie odrywając wzroku od materiałów. – Mogę wziąć to do domu?

– Oczywiście, ale błagam, uważaj. Czechowicz wstał.

– Wiesz, rzeczywiście nie najlepiej się czuję. Pojadę teraz do siebie, a pogadamy jutro.

– Jasne. Nie masz jakichś prochów? Wszystko się skończyło. Lekarz wyjął z kieszeni panadol od Jolki.

– Trzymaj, ja i tak mam tego sporo w domu.

– Ratujesz mi życie.

– Jasne. Nie przepracuj się. Robert schował dokumenty do teczki, którą podał mu Jędrzej, i wyszedł z gabinetu. Szybko pożegnał się z Ewą i zbiegł do samochodu. W niedzielny wieczór nie było specjalnego ruchu, więc po dwudziestu minutach stał już przed sowimi drzwiami. Z ulgą wszedł do mieszkania. Zdjął buty, poszedł do kuchni i wyjął z lodówki wodę mineralną.

– Cholera! – mruknął pod nosem, po raz kolejny widząc puste niemalże półki. – Chyba nigdy nie znajdę czasu na zakupy. Otworzył szafkę nad lodówką, wyjął z niej panadol i połknął dwie tabletki. Zdjął pośpiesznie marynarkę i krawat, po czym opadł ciężko na łóżko.

Dzwonek telefonu, który zaczął brzęczeć nieznośnie, przywitał ze złością.

– Odpieprzcie się! – rzucił w stronę aparatu. Niestety, ktoś nie dawał za wygraną. Po krótkiej przerwie telefon znów zadzwonił. Czechowicz podniósł słuchawkę.

– Słucham – burknął zniecierpliwiony.

– Robert! Błagam, przyjeżdż tu! – Ewa Morawiecka była przerażona.

– Co się stało? Przecież wyszedłem od was pół godziny temu.

– Coś się stało z Jędrzejem!

– Co?!

– Parę minut temu stracił przytomność. Chciałam wezwać pogotowie, ale chwilę temu potem obudził się i ... – Zaczęła płakać.

– Spokojnie, opowiedz wszystko po kolei.

– Nie poznał mnie! – Nie poznał cię?! A w ogóle coś mówił?

– Nie wiem. Bełkotał coś w jakimś dziwnym języku... potem krzyczał i pytał o coś... Ale na pewno nie po polsku.

– Boże, o czym ty mówisz? – Czechowicz szybko zaczął szukać w pamięci czegoś, co mogłoby do tego pasować, ale żadne schorzenie nijak się miało do opisu Ewy.

– Gdzie on teraz jest?

– Wybiegł z domu. Słuchaj, on zna tylko angielski, ale to na pewno nie było po angielsku.

– Zaraz przyjadę. Wiesz gdzie zadzwonić?

– Tak. Jędrzej dał mi kiedyś ten telefon.

– Dobrze. Tylko nie mów im na razie nic o tym... innym języku. Powiedz, że wyszedł i nie wrócił na czas. Ja zaraz przyjadę.

– Robert co się stało?

– Nie wiem. To może być wiele rzeczy. Najważniejsze teraz to szybko go znaleźć. Czekaj na mnie. – Odłożył słuchawkę i spojrzał z przerażeniem w lustro. – Boże, o co tu chodzi?